

Przestaliśmy się zastanawiać, po co nam życie. Skupiamy się tylko na tym, żeby było jak najdłuższe

Jan Hartman - profesor filozofii z Uniwersytetu Jagiellońskiego

Gazeta Wyborcza, 17 października 2020

[za:] <https://wyborcza.pl/magazyn/7,124059,26402289,przestalismy-sie-zastanawiac-po-co-nam-zycie-skupiamy-sie.html>



(Ilustracja Paweł Kuczyński)

W narcystycznym społeczeństwie nie opłaca się dorastać, nie opłaca się brać odpowiedzialności, a w końcu nie opłaca się konfrontować z własną śmiertelnością.

Od dekad bioetycy debatują, ile może kosztować przedłużanie kończącego się życia i kiedy powiedzieć stop wydatkom, które pozbawiają leczenia innych, mogących bardziej na tym leczeniu skorzystać. Dzięki odważnemu poruszaniu tych drażliwych tematów w wielu krajach mamy dziś sprawiedliwe i czytelne procedury. Jednak dla współczesnego społeczeństwa ekonomiczne aspekty ratowania życia, podobnie jak kwestie zaprzestawiania leczenia, tak zwanej uporczywej terapii, i odłączania urządzeń podtrzymujących funkcje życiowe, wciąż są niemalże tabu – poruszanie ich na gruncie publicznym, wychodzące poza rytualne zapewnienia o bezcenności życia ludzkiego, prowadzi do paniki moralnej.

Bioetyka jest dobrym, lecz niestety rzadkim przykładem skutecznego oporu profesjonalnych elit wobec społecznego lęku będącego symptomem dezorientacji aksjologicznej, w którą popadliśmy w czasach, gdy większości z nas jest już tak dobrze, że nie wiadomo, co by tu jeszcze wymyślić, a mimo to co rusz dopada nas melancholia, przed którą nie da się uciec na egzotyczną wyspę.

Regresja do dzieciństwa

Gdy nie wiadomo, co z życiem robić, przeciąga się je za wszelką cenę, aby tylko dać sobie szansę na to, że wreszcie coś ważnego się stanie i całe to życie nabierze sensu. W nowoczesnym społeczeństwie jakość przechodzi w ilość.

Skoro żyjemy bezpiecznie, skupiając się na przyjemnościach i dbaniu o siebie, to generalne pytanie: „po co?”, ulega wyparciu bądź otrzymuje zastępczą, prowizoryczną – aczkolwiek trwałą, jak to z prowizorkami bywa – odpowiedź: „żeby jak najdłużej!”.

Sprzyja temu lęk przed śmiercią, coraz silniejszy w narcystycznym społeczeństwie, w którym nie opłaca się dorastać, nie opłaca się brać odpowiedzialności, a w końcu nie opłaca się konfrontować z własną śmiertelnością.

Taka konfrontacja nie może się udać, jeśli się myśli, że życie to tylko przeżycia – bieg z przeszkodami, w którym gna się od przyjemności do przyjemności, sprawnie przeskakując

przez płotki i rowy niepotrzebnych przykrości. Unikanie wszelkiego dyskomfortu, łącznie z umieraniem i myśleniem o śmierci, bardzo dobrze konweniuje z demokracją i rynkiem. Jedno i drugie wciąż nam dogadza i utwierdza nas w miłości własnej, a nawet w poczuciu wyjątkowości, które stało się wszak towarem masowym jak każdy inny.

Rozpuszczeni przez słodki szczebiot marketingu i obietnic polityków ulegamy regresji do dzieciństwa, bo trzeba być dzieckiem, żeby dobrze zrozumieć, co mówi nam wielka Mama, wciąż zapewniająca nas o swoim zrozumieniu i trosce, podtrzymująca nasze poczucie własnej wartości i zaręczająca nieodmiennie, że wszystko będzie dobrze, a nawet że śmierć jest nieskończenie daleko, a tak w ogóle to umieranie może być kolejnym „ważnym doświadczeniem”. W końcu nie na darmo od dwóch tysięcy lat marketing religijny wmawia ludziom, że wstaną z grobów cali i zdrowi. Tak rozpieszczeni stajemy się posłuszni, kupując wszystko, co Mama nam podpowie. Każde z nas idzie dziś przez świat, przytulając pluszowego misia, a prawo do dziecięcego płaczu jest ostatnim z odkrytych przez ludzkość praw człowieka.

System ma dziś twarz wielkiej bogini-matki i to Matka odpowiada za popyt na wybujałą produkcję towarów i usług. Od mamy prawdziwej różni ją tylko to, że za jej obiadki i prezenty trzeba zapłacić ciężką pracą „w firmie” i zabawnie skaczącymi cyferkami, które kiedyś były pieniędzmi. Nie potrzeba już groźnego ojca wołającego synów pod broń dla ratowania ojczyzny i pomszczenia dawnych krzywd plemienia – światowy pokój jest dla systemu bardziej opłacalny niż światowa wojna.

Lepiej już było

I to wszystko trwałoby sobie w najlepsze, gdyby nie wyczerpujące się zasoby. Rozpasana światowa klasa średnia do niedawna nie zaprzętała sobie głowy wodą, powietrzem, gazami cieplarnianymi, a przede wszystkim koloniami, korzystając bez skrpułów z zasobów naturalnych i taniej siły roboczej. Teraz to się zmieniło. Zasoby się kończą i nie widać żadnej wielkiej technologii, która pozwoliłaby wyrównać narastające deficyty kopalin oraz powstrzymać tragedię przegrzania planety. Za to wieści o dobrobycie dotarły już do każdego zakątka świata i żadne społeczeństwo nie chce już być rezerwuarem na wpół darmowej robocizny. Mordercza konkurencja wielkich korporacji i obniżanie marży zysku do ułamka procentu sprawiają zaś, że nie da się już ciąć kosztów, a mniejsze firmy spychane są do rynkowych nisz, gdzie mogą się jeszcze przez jakiś czas utrzymać wyższe ceny. Słowem, lepiej już było. Rozpieszczone społeczeństwo globalne może rzucić misia na ziemię i tupać nóżką, a może też wziąć się w garść i wydorosnąć. Nikt nie wie, co się wydarzy.

Władza jest jak chmura

Za to młodzi wiedzą, że są pierwszym w historii nowoczesnej pokoleniem pozbawionym ekscytującego poczucia, iż urodzili się w najlepszej epoce, a ich życie będzie pełniejsze i bogatsze niż życie ich rodziców i dziadków. Zacięto się.

Mierne perspektywy w połączeniu z rozbuchanymi oczekiwaniami i aspiracjami ludzi uczonych od dziecka, że „świat należy do nich” i „stoi otworem”, dają potężną frustrację.

Co gorsza, nie można jej wykrzyczeć i ulżyć sobie buntem, gdyż nie wiadomo, przeciwko komu konkretnie należałoby się buntować. Zostały już tylko marne resztki z wielkich zasobów paliwa przemian społecznych epoki nowoczesnej, czyli nierówności i niesprawiedliwości. Dzieje emancypacji – walki o godność, wolność i równość – dobiegają końca. Jeszcze gdzieś pobiją Afroamerykanina albo geja, lecz tylko patrzeć, a i to się skończy.

Sens rewolucji, który przydawał powagi i godności życiu społecznemu w ciągu ubiegłego pół tysiąca lat, wyczerpuje się. Zostaje życie prywatne, pełne komfortu i przyjemnych aktywności, które pozwalają tworzyć iluzję bezpieczeństwa i miłości.

System nie chce już być opresyjny – mebluje i dekoruje nam życie, a my chętnie zostajemy w tych dekoracjach, buntując się tylko na niby i bezpiecznie, czyli pisząc posty w mediach społecznościowych.

Nie bardzo już odróżniamy reportaż od fikcji – po prostu są filmy do obejrzenia. Niektóre opowiadają o problemach społecznych i protestach, a inne o pięknie naszej zagrożonej planety. Oglądamy, „lubimy”... I tyle. Strefa komfortu nietzscheańskiego „ostatniego człowieka” w krajach Zachodu rozciąga się bez końca i, doprawdy, nie wiadomo, gdzie szukać winnych zamknięcia nas w złotej klatce bez prętów i drzwiczek. Nie wiadomo, kogo obrzucić zgniłymi jajami za globalne ocieplenie.

Bo władza jest dziś jak chmura – rozproszona, nieokreślona, ruchliwa, trudna do zidentyfikowania. Spełnia się proroctwo Deleuze’a i Guattariego z książki „Tysiąc plateau” – w futurologii jesteśmy więc świetni, choć niewiele z tego na razie wynika. Czy robić sobie fotki z protestów pod Białym Domem, czy może przed siedzibą Google’a? Jedno i drugie jest trochę na niby i trochę bez sensu. Bo ani USA, ani Google... Choć przecież i USA, i Google...

Wychować maszynowego nadczłowieka

Nie wiemy, kto to wszystko nam uczynił. Pozostaje tylko jakoś tak ogólnie alarmować i wzywać do większej odpowiedzialności za planetę i za przyszłe pokolenia, jakkolwiek niewiele to daje, skoro wszyscy skwapliwie zapewniają, że się, owszem, troszczą, lecz nikt – ani protestujący, ani rządy – nie ma dobrego planu działania. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku, wykonując rytualne gesty, stosownie do zajmowanej pozycji: dziś na urządzie „panujemy nad sytuacją”, a jutro na chodniku wrzeszczymy: „Obudźcie się!”. Tyle że nikt nie strzela, więc nic nie dzieje się naprawdę. Produkuje kolejne filmiki, a czas leci.

Sprawy zaszły za daleko, żeby najpotężniejsze nawet gremia, takie jak zarządy globalnych korporacji czy rządy wielkich mocarstw, same mogły wiele zmienić. Musimy poczekać na historię, czyli na ewolucję systemu. A on nie odkrywa przed nami kart. I nie odkryje, bo partnerem dla niego już dziś stają się algorytmy sztucznej inteligencji. To ona zadecyduje, ile zostanie z „człowieczeństwa”, które z takim mozołem wypracowaliśmy sobie przez stulecia emancypacji.

Jeśli chcemy przetrwać jako ludzkie osoby wzajemnie się uznające w swej godności, podmiotowości moralnej, rozumności i autonomii, to musimy nakarmić algorytmy tymi wartościami, które sprawiają, że nasze życie jest ważne i cenne niezależnie od tego, czy trwa długo, czy krótko oraz czy napędza koniunkturę, czy też mało w nim przeliczalnej na wartości ekonomiczne produktywności i konsumpcji. Tylko wtedy, gdy potężne systemy nadzoru i regulacji, które właśnie tworzymy, będą nas „szanować”, czyli chronić i dawać priorytet „opcjom” uwzględniającym wartości, które się realizują w naszej egzystencji, możemy przetrwać jako ludzkość. W przeciwnym razie wyemancypowany i niepoddający się już ludzkiej kontroli maszynowy nadczłowiek uczyni z nas bardziej czy mniej potrzebną mu niewolniczą biomasę.

Jak sobie dziś tego małego nadczłowieka wychowamy, tak nas będzie traktował, gdy dorosnie, a my staniemy się już ludzkością emerytowaną. Mamy na to zaledwie kilka dekad, bo „bios” przyszłych autonomicznych i uczących się systemów informatycznych programiści piszą właśnie dziś. I zostanie on w chmurze jako rdzenna „osobowość” i „język maszynowy”

sztucznej inteligencji na bardzo długi czas. Biada nam, jeśli „optymalizacja” będzie dla maszyn jedynie rachunkiem prawdopodobieństwa i logistyką matematyczną nastawioną na generowanie wartości ekonomicznej, oszczędzanie energii i czasu. Jeśli nie uda się nam zachować godności życia w takim stopniu i skali, żeby żadna maszyna nie mogła nam zastąpić ojca ani matki, żony ani męża, przyjaciół, poetki i kompozytora, to możemy pożegnać się z historią człowieka na Ziemi. Dziś walka toczy się nie tylko o planetę, lecz także o cały nasz gatunek. I nie chodzi w niej o fizyczne przetrwanie, które nie jest zagrożone, ale o przetrwanie człowieczeństwa.

Nikt nie czeka na rewolucję

Naszą sytuację utrudnia dekonstrukcja na cnoty heroiczne. Poświęcenie, ideowość, nonkonformizm są znakomite do podziwiania w kinie, lecz nie możemy ich na poważnie praktykować w sytuacji, gdy mamy tak wiele do stracenia i prowadzimy tak przyjemne życie. Oddanie się ryzykownej i trudnej aktywności nie spotka się z uznaniem większym niż działalność wynikająca z bezpiecznego uspołecznienia mieszczącego się w ramach wyznaczonych przez zasady oportunistów i konformizmu. W gruncie rzeczy nikt nie czeka dziś na rewolucję – nawet rewolucjonista musi być profesjonalnym produktem mającym sztab i zaplecze producenckie. Sine pręgi na plecach pobitego Białorusina to mniej więcej granica tego, co jesteśmy gotowi zaakceptować. Lajk, pięćdziesiąt złotych na „szlachetny cel”, godzina na ulicznej demonstracji raz na pół roku – to miara naszego aktywizmu.

Nie wierzymy w swoją sprawczość i nie chcemy ryzykować w sprawie, której nawet nie umiemy nazwać. No przecież Sprawą (to termin Hegla) nie jest już ani wolność, ani wiara.

Jesteśmy stanowczo zbyt refleksyjni i zbyt zepsuci, aby na serio brać wielkie ideały, nie mówiąc już o plemiennych wierzeniach. Na serio bierzemy tylko swoje prywatne interesy – nasze dochody, mieszkania, partnerów, psy i koty.

Kto śmieiej sięga po zasoby, czyli żyje pełnią życia, ten otrzymuje od życia premię. Delikatność uczuć, pokora, wstydlivość i dobre wychowanie zdecydowanie przegrywają z trywialnością, ironią i pewnością siebie. Pospolitość w inteligentnej masce szydercy bardziej przebija się na rynku i w towarzystwie niż subtelność i kultura. Popisuj się i daj się popisować innym – tak brzmiałaby zaktualizowana wersja słynnego liberalnego powiedzonka. Afirmacja oferowana wszystkim obecnym i resentyment w stosunku do nieobecnych odszczepieńców naruszających nasze poczucie wspólnoty opartej na totalnej wzajemnej akceptacji to zasady współżycia obowiązujące dziś w centrach wielkich miast.

Ucieczka z matriksu jest możliwa

Zwycięstwo filisterskiej trywialności i fałszywej miłości powszechnej (która „nikogo nie wyklucza”) oznacza, że agresja ulatuje nie wiadomo gdzie i nie poddaje się żadnej kontroli.

Wykluczenie może spotkać każdego. Każdy może zostać napiętnowany i popaść w infamię – bez prawa do odwołania. Kto bowiem się tłumaczy, ten widocznie ma z czego. Kto się skarży, ten jest słaby. Kto stracił twarz, ten nie może jej już odzyskać. Wyroki społeczności powszechnej inkluzji i miłości są tak samo surowe jak archaiczne plemienne banicje.

Dlatego pomimo obojętnościącego komfortu rządzi nami lęk. Każdego dnia świat każdej i każdego z nas może się załamać.

Dając sobie prawo do zajmowania centrum własnego świata, obawiamy się, że w chwili próby nikt z niczego nie zrezygnuje dla nas. Bo czy sami moglibyśmy się dla kogoś poświęcić?

To przerażające odkrycie, że żyjąc wygodnie, żyjemy tylko dla siebie, a więc zawsze i nieodwołalnie sami, sprowadza na nas panikę i depresję. Wszyscy jesteśmy na antydepresantach albo zaraz będziemy. Tego nowego wspaniałego świata nie da się wytrzymać – zwłaszcza zaś w czasie, gdy z powodu jakiejś absurdalnej epidemii jest on akurat w gorszej formie. To tak, jakby telewizor zaczął naraz śnieżyć albo telefon stracił zasięg. Na to, że nasz światek ma cienkie ściany, nie można się uodpornić. To jest niebywały skandal – niemalże jak sama śmierć.

A jednak możliwa jest ucieczka z matriksu trywialności i narcyzmu. Są tacy, których faszyzm rynku, faszyzm technologii, technokracji, biopolityki i systemowego narcyzmu nie jest w stanie wciągnąć w swoje bezlitosne tryby. O tej cudownej możliwości opowiada niezwykle serial „Czarne lustro” (Netflix). Każdy z odcinków mówi o nowych technologiach i tkwiącym w nich faszystowskim potencjale, a jednocześnie jest opowieścią o miłości, która wszystko zwycięża. Miłości, której żadna sztuczna inteligencja nie jest w stanie przekalkulować i wmontować w swoje systemy kontroli i wygenerowane przez siebie „rozszerzone rzeczywistości”.

Morał płynący z tych przypowieści powiada, że z każdej matni są co najmniej dwa wyjścia: miłość albo śmierć. A że kochanie jest gotowością oddania życia, zaś śmierć jest zwycięstwem dla kochającego, żaden terror ani przebiegłość systemu nie mogą osiągnąć kochanków. Są nieprzekupni. Superbohaterka toczy beznadziejną walkę z robotami w ostatnich dniach ludzkiego świata w imię okrucieństwa, który chce ofiarować nie swojemu dziecku.

Kochający się ludzie wychodzą z systemu kontroli i kontrolowanej rozszerzonej rzeczywistości, dokonując transgresji poprzez miłość.

Ale też: przeciętny i niewinny młody człowiek spotyka cud miłości, który okazuje się cyfrowym oszustwem i morderczą pułapką. Ktoś, buntując się, spada na dno w faszystowskim systemie społeczeństwa przesytu opartym na wzajemnym ocenianiu się i kontroli, by dopiero tam, pośród niemających już nic do stracenia, znaleźć człowieczeństwo i miłość.

Mądrość mówiąca, że nawet podlegając totalitarnej kontroli, można być wolnym, jeśli się kocha i jest się gotowym na śmierć, nie jest odkryciem naszych czasów, lecz wymaga dostosowania do naszych warunków życia, czyli postępującej „wirtualizacji” naszego doświadczenia, które w coraz większym stopniu jest efektem multimedialnej kreacji i grą. Jest czymś niesamowitym, że do zrozumienia tej sytuacji przygotowali nas filozofowie, a wyjaśnianiem tych nieprostych zagadnień szerokiej publiczności zajęli się twórcy filmowi.

Uratuje nas tylko miłość

Sprawa znana jest w filozofii pod nazwą transcendentalności. Otóż Kartezjusz odkrył na początku XVII wieku, że nawet gdyby nasz umysł był w pełni kontrolowany z zewnątrz, jego poczucie siebie wcale by nie zniknęło. „Ja” istnieje, dopóki cokolwiek przeżywa – nawet zupełne iluzje. A skoro istnieje, to zawsze jest w jakiejś mierze wolne. Może na przykład podawać w wątpliwość, czy świat wokół niego jest prawdziwy. George Berkeley chwilę później wtrącił swoje trzy gorsze: to, że świat jest dla nas prawdziwy i ważny, nie wynika z tego, że jest czymś twardym i ciężkim, co istnieje poza naszymi głowami. Może sobie być nawet tylko strumieniem przeżyć w umyśle – byleby był poważny, wartościowy, spójny.

Zdaniem Berkeleya tak właśnie jest – jesteśmy sterowani z zewnątrz, świat jest tylko w naszych głowach, lecz nic złego z tego dla nas nie wynika, gdyż steruje nami ni mniej, ni więcej, lecz sam dobry Bóg.

Jeśli już to mamy, to bez trudu zrozumiemy, co to jest transcendentalność. Najkrócej mówiąc – to zniesienie różnicy między rzeczywistością a iluzją, bo prawda, dobro i piękno obywają się bez tej dychotomii.

Świat jest rzeczywisty nie dlatego, że jest „materialny” czy „na zewnątrz”, lecz dlatego, że jest racjonalny, etyczny i piękny.

Trzysta lat zajęło filozofom dogłębne przemyślenie tego odkrycia. Dziś dzielą się nim poprzez popkulturę i takie filmy jak serial „Czarne lustro”. To wielka satysfakcja dla nas, filozofów, że dotarliśmy z tak ważnym przekazem.

Otóż wielkie wartości i miłość, która z nich czerpie swą przemożną siłę, zajmują pozycję transcendentalną. Ktokolwiek kontroluje świat i nadaje mu sens, musi się z nimi liczyć – zarówno Bóg, jak i złośliwy demon sztucznej inteligencji, który chciałby być jak Bóg.

Jeśli zachowamy wiarę w dobro, prawdę i piękno, a dzięki temu zdołamy utrzymać miłość między nami, żaden technologiczny faszyzm nie może nas osiągnąć.

Bo kochać można zarówno w samej głębi sztucznie wykreowanej i totalnie sugestywnej rzeczywistości wirtualnej – podanej wprost do naszych mózgów – jak i w świecie najzupełniej analogowym, pozbawionym wszelkiej elektroniki i zaczarowanym jedynie przez mity i opowieści starców.

Dlatego to nie system dyktuje kochankom transcendentalne warunki, lecz oni mówią mu: „co najwyżej nas zabijesz, lecz miłości nam nie odbierzesz”. I taka jest transcendentalna tajemnica bytu. W strasznych czasach, które nadchodzą, uratować nas może tylko miłość. Niech tak się stanie.

Tytuł i śródtytuły od redakcji